

## JACEK WOJCIECHOWSKI

Łukasz Kołodziejczyk, *Prywatność w Internecie: postawy i zachowania dotyczące nieujawniania danych prywatnych w mediach społecznych*, Warszawa: Wydawnictwo SBP, ss. 152

Koncepcyjna myśl bibliologiczno-informacyjna wymaga kontynuacji, dlatego ważne, żeby w obszarze publikacji z tego zakresu pojawiały się nowe nazwiska autorów młodych. Nie zamiast dotychczasowych, lecz obok. Nieźle patronuje temu Wydawnictwo SBP oraz samo SBP, poprzez specjalną Nagrodę Młodych, którą wyróżnia się najciekawsze „branżowe” rozprawy magisterskie z całej Polski. Chociaż wolałbym, żeby namiętnie nie zjadano przy sygnalizacji drugiego członu nazwy tej nagrody: im. prof. Marii Dembowskiej. Bo wprawdzie patronka miała charakter nieco narowisty, ale była osobą głęboko mądrą i na swój sposób sympatyczną.

Ostatnio (8 lipca 2014 roku) nagrodą – a w konsekwencji książkową publikacją rozprawy – został wyróżniony magistrant Instytutu INiSB Uniwersytetu Warszawskiego, **Łukasz Kołodziejczyk**, którego promotorką była prof. dr hab. Barbara Solińska-Kalata. I akurat te szczegóły informacyjne należało w książce zamieścić, tymczasem tak nie jest.

Posiadając niejaki rozeznanie w sferze jakości wypracowań magisterskich (zresztą innych też) z obu naszych dyscyplin, nie mam wątpliwości, że jest to eksplikacja nietuzinkowa. Jakkolwiek inaczej kształtuje się ocena rozprawy magisterskiej, a inaczej – opublikowanej książki, nawet jeżeli tekst jest ten sam. Jednak możliwa różnica w opiniach nie zmienia mojego przeświadczenia, że książka jest warta uwagi. I to ewentualnie szerokiej.

Łukasz Kołodziejczyk wziął się mianowicie za analizę stosunku internautów do ich prywatności w sieci, czyli do informacji o sobie, które trafiają tam po części intencjonalnie, ale także poza świadomością i są (albo nie) wykorzystywane do różnych celów, przeważnie komercyjnych – bez zgody, a nawet wiedzy samych zainteresowanych. Co niby wszystkich irytuje, lecz jednak nie skłania do zapobiegania. A jeżeli już, to przeważa obrona pasywna, mało skuteczna.

Ogólna konkluzja – do której autor zmierza kilkoma wątkami – jest taka, że wprawdzie ludzie cenią sobie swoją prywatność (ja sądzę, że raczej intymność) i mają świadomość, że w internecie zagrożenia dla niej są radykalnie wzmożone, w porównaniu z tym, co dzieje się w rzeczywistości fizycznej. Ale jednocześnie robią niewiele, lub nic, żeby tę prywatność chronić. Nawet z narzędzi ochronnych, ostatnio instalowanych w programach społecznych, korzysta mało kto, bo zresztą mało kto o nich wie.

Internauci na ogół nadrabiają miną i pewnością siebie, w (bezzasadnym) przeświadczeniu, że mają to pod kontrolą. I na taki mniej więcej wniosek naprowadziły autora obiegowe opinie i doniesienia z kilku badań ogólnych (Eurobarometr, Microsoft) oraz jego własny sondaż. Chociaż wolałbym, żeby ta opinia została klarownie i jednoznacznie wyrażona, bo ostateczne konkluzje przedstawiają się mętnie. Rozdział finalny, zatytułowany wprawdzie *Podsumowanie*, żadną spójną referencją nie jest: powtarza w pełnym brzmieniu, ale chaotycznie, niektóre sformułowania, już wcześniej wpisane w tekst.

Zasygnalizowana dychotomia potocznych opinii, postaw i zachowań ma swoje źródła w złożonym charakterze całego zjawiska i o tym Kołodziejczyk pisze racjonalnie oraz ciekawie, podpierając się różnymi źródłami. Otóż samo pojęcie prywatności jest nieostre i wielowymiarowe, w znacznym stopniu zdane na rozstrzygnięcia indywidualne. Każdy mianowicie sam ocenia – jeżeli w ogóle to robi – jakie informacje osobiste należą do jego sfery prywatnej, a które można bez szkody upubliczniać. Z tym, że w internecie takie rozstrzygnięcia są jeszcze trudniejsze, bo już przez samo wejście do sieci następuje pośrednia lub bezpośrednia sygnalizacja wiadomości o sobie – o czym nawet się nie myśli.

Z jednej strony zresztą, realizowane przez internet transakcje i operacje bankowe wymagają bezpośredniego zgłoszenia różnych danych własnych. Z drugiej zaś: społecznościowe platformy właśnie po to głównie są, żeby umożliwić prezentację siebie i podtrzymać (rzadziej: nawiązać) kontakty z innymi. Tego nie osiągnie się przez ograniczoną manifestację, można tylko nie mnożyć detali, ale nie wiadomo których i jest to jednak ochrona bierna. Tymczasem administratorzy, zleceniobiorcy i organizatorzy kontaktów gromadzą dane bez pytania o zgodę (czy ktoś zwraca uwagę na sygnał cookies?), a są nawet krytycy, w ogóle negujący prawo do prywatności w sieci. Najwięcej takich informacji kompletują Facebook oraz Google i nie warto łudzić się, że z tego zrezygnują, bo to jest wszak źródło gigantycznych przychodów. Wprawdzie coraz częściej zaczynają pojawiać się rozmaite mechanizmy ochronne, lecz nigdy kompletne, a w dodatku ich wykorzystanie jest mizerne.

W tych okolicznościach ewentualne regulacje prawne mają skuteczność ograniczoną, bądź są spóźnione, albo pozostają całkiem martwe. Tym bardziej, że sieć ma charakter globalny, a prawa stanowią poszczególne państwa, tylko niekiedy kojarząc je transgranicznymi umowami, lecz w niewielkim stopniu i wyrywkowo, zatem na prawną ochronę informacji osobistych w internecie trudno liczyć. Tak jak i na postulowaną wobec administratorów politykę prywatności, zaś przesłanki moralne – tzw. netykieta – mają charakter wyłącznie zdobniczy.

Internauci muszą zatem sami dokonywać wyboru, pomiędzy ryzykiem otwartości a prywatnością właśnie, w trybie ograniczania powiadomień o sobie – ale co ważne: jeżeli zdają sobie sprawę z takiej konieczności oraz z ryzyka. No bo asceza referencyjna oraz redukcja wejść do sieci grozi izolacją i wyklucza kontakty, wymianę informacji, jak również transakcje. A wtedy po co w ogóle korzystać z internetu?

Zresztą samo wejście do sieci inauguruje – w trybie świadomym lub nieświadomym – budowę tam informacyjnego serwisu własnego. Już choćby przez rejestr wyszukiwanych informacji. Warto nad tym pracować, lecz nie jest to w pełni możliwe i właśnie o tym Kołodziejczyk donosi. Sygnalizując trzy typowe rodzaje internautycznych postaw: bez troskę bądź (przeciwnie) skrajny fundamentalizm w redukcji powiadomień o sobie, albo – najlepszy, jak się wydaje, lecz enigmatyczny i trudny do osiągnięcia – elastyczny pragmatyzm w postępowaniu. I to są roztrząsania trafne oraz pożyteczne.

Są jednak w tekście również słabości, na tyle charakterystyczne, (szerzej) typowe, że warte zasygnalizowania. Te drobne to wypowiedzi nieostrożne, bez wcześniejszego przemyślenia.

Pisze więc autor o „miliardach” internautów na świecie, dołączając w ten sposób do bezkrytycznych Siecioapologetów, którzy są przekonani, że z internetu korzystają wszyscy. A to nonsens! Kiedy pisał swój tekst, było ich 800 milionów, do dwóch miliardów liczba dojdzie być może za rok, więc wyobrażenie internautycznej powszechności to duża naiwność. Zwłaszcza że w najludniejszych krajach z internetu korzysta **zdecydowana mniejszość**, bo w Rosji 32%, w Chinach 23%, a w Indiach mniej niż 5% mieszkańców<sup>1</sup>.

Z kolei wyniki badań Eurobarometr uważa Kołodziejczyk za reprezentatywne dla całej Europy, pisząc o... Europejczykach. Nie! Odnoszą się one tylko do krajów zrzeszonych w UE. Nie dotyczą choćby Rosjan, Ukraińców ani Turków, a to też Europejczycy i jest ich dużo. Nadto zaś

---

<sup>1</sup> M.I. Wilson, A. Kellerman, K.E. Corey, *Global information society. Technology, knowledge, and mobility*, Lanham 2013, s. 121, 151, 157, 162.

niepotrzebna, bo bezzasadna jest uwaga o zmianach w mózgu jakoby w następstwie używania internetu. To kolejna bezkrytyczna fascynacja siecią – autor wszak na neuronauce się nie zna – a w ogóle postępowanie naukowe wymaga dystansu i chłodnej kalkulacji. Nic w tej imputacji nie ma z prawdy. Profesor College de France, Stanislas Dehaene, wybitny psycholog komunikacji, nie ma wątpliwości, że to narzędzia komunikacji przystosowują się do reguł funkcjonowania mózgu, a nie odwrotnie<sup>2</sup>. I już nie będę komentował szerzej tego, że pomieszczone w książce rozbudowane tabele są nieuporządkowane i słabo czytelne.

Sam sposób eksplikacji jest na ogół klarowny i poprawny, co nieczęsto zdarza się w tekstach biblio-informatologicznych nawet wyższej rangi. Ale przytrafiają się również okropieństwa, w rodzaju „w tym temacie”, „prywatność jest istotnym tematem”, oraz bzdurny zwrot „zarządzanie prywatnością”. Zarządzaniem wszyscy już teraz rzucają jak śmieciami i wkrótce ktoś napisze o zarządzaniu papierem toaletowym w wychodku.

Oraz jest tam – niestety – koszmarna praktyka pisania o sobie w trzeciej osobie: zbadano, podjęto, wspomniano, korzystano. Łukasz Kołodziejczyk wspomniano? W jakim to jest języku? Albo pisze o sobie: autor. Czy nie widać, że to śmieszne i megalomańskie? I już nie spytam, czemu nie ingerowały Promotorka ani Redaktorka książki – ponieważ wiem. Takie kaleczenie polszczyzny rozpleniło się jak zaraza w piśmiennictwie bibliologii i informatologii, z czego śmieją się wszyscy inni. Powinno się karać za to chłosta! Zaimek **JA i pochodne** (zrobiłem, napisałem) nie jest niczym nieprzyzwoitym. Nieprzyzwoite są inne wyrazy, ale nie będę ich tu przywoływał.

Ale mam też kilka poważniejszych zastrzeżeń. Otóż autor przeprowadził sondaż wśród studentów I roku studiów w INiSB UW, mając świadomość, że ta grupa nikogo nie reprezentuje. Oczywiście: nikt na studiach nie ma szans na poważniejsze badanie i wobec tego szuka się zbiorowości „ilustracyjnych”. W porządku, znam ten ból – ale do tego trzeba jeszcze opanować elementarną metodologię badawczą oraz znać sposoby opracowania wyników. Tymczasem widać, że tych umiejętności autor nie opanował (jest na ten temat ponad 1000 monografii) i nikt mu nie pomógł, więc po prostu spisał wypowiedzi, „jakoś” je porządkując. To można było sobie darować, bo pożytek jest żaden. Ale to jest przypadek w naszej branży typowy. Przez nieumiejętność metodologiczną znakomita większość sygnalizowanych „badań” i „analiz” empirycznych z zakresu inb nadaje się wyłącznie do śmieci.

---

<sup>2</sup> S. Dehaene, *Reading in the brain*, New York 2009, s. 3; *The brain and the written Word*, „Scientific American/Mind” 2010, nr 4–5, s. 63.

Bardziej zaniepokoił mnie spis wykorzystanych źródeł – też charakterystyczny dla bibliologów oraz informatologów na wszystkich poziomach. Mianowicie w internetowym szaleństwie wszyscy zapomnieli, że podstawę naukowej wiedzy w naukach humanistycznych oraz społecznych nadal wyznaczają **drukowane** monografie. Z lenistwa oraz z wygody w Polsce korzysta się prawie wyłącznie z internetu – dlatego jakość tych naszych dociekań jest, jaka jest. W nauce nie ma ulg ani łatwizny.

To tylko częściowo obciąża samych studentów. Winę ponoszą również wykładowcy i promotorzy, którzy ten stan rzeczy tolerują i potem nieoczytanie wyłazi na każdym kroku. Tym razem po części też. Kołodziejczyk przywołał raptem pięć źródeł drukowanych (5% ogółu), a wśród źródeł internetowych aż 30% stanowią tzw. materiały wolne, a więc nierecenzowane. Tak nie można uprawiać nauki! W internecie byle Jan Pupa może sobie napisać, że każdy pingwin ma rogi, dziesięć nóg i waży pół tony, ale to nie znaczy, że tak jest.

Oczywiście: trudno w jednym tekście – tym bardziej w rozprawie magisterskiej – napisać o wszystkim. Dobrze więc, że autor darował sobie wątek przestępczego proceduru okołointernetowego, bo to całkowicie osobny problem. Uważam jednak, że należało (przynajmniej) zasygnalizować dodatkowe niebezpieczeństwo naruszania prywatności w korzystaniu z internetu za pośrednictwem bibliotek – bo tak rzeczywiście jest. Zapewne wymaga to odrębnego przeanalizowania, ale krótka enuncjacja była – wydaje mi się – konieczna.

I oto znowu dotykam problemu szerszego. W Polsce instytuty informacji naukowej i bibliotekoznawstwa (bibliotekoznawstwa?) uciekają od problematyki bibliotecznej jak diabeł od święconej wody. A wszak dla niej zostały powołane. Kołodziejczyk zresztą zajmował się przedtem bibliotekami – to były biblioteki parafialne diecezji bydgoskiej – więc jakiś styk z biblioteczną praktyką miał. Nawet jeżeli nie było tam internetu...

Ale co szczególnie ważne: zabrakło w tekście odniesienia – choćby również sygnałnego – do internetu głębokiego, czyli ukrytego. Bo dopiero w tym kontekście zawiera się dramatyczne **skasowanie** w internecie **wszelkiej** prywatności. Mianowicie to, co raz zostało wprowadzone do sieci, w każdej chwili można odtworzyć i przyporządkować, bez wiedzy zainteresowanych. Jakkolwiek nie twierdzę, że to łatwe lub tanie, ale **zawsze możliwe!**

Owszem, na ten drażliwy temat wiadomości są skąpe. Napisano niewiele, prawie nic. Ale Szanowna Promotorka była wszak redaktorem naczelnym „Przeglądu Bibliotecznego”, zaś członkiem Rady Redakcyjnej tego kwartalnika był prof. David Nicholas, który zajmuje się właśnie tą

tematyką<sup>3</sup>. Aranżacja przynajmniej krótkiej wymiany opinii mogłaby być niezwykle frapująca i szkoda, że tak się nie stało.

Ale te moje poważniejsze zastrzeżenia odnoszę raczej do naszej (inb) praktyki publikacyjnej jako całości niż do książki Łukasza Kołodziejczyka bezpośrednio. Napisanej ciekawie, z dobrym rozeznaniem problematyki, więc – moim zdaniem – wartej przeczytania.

---

<sup>3</sup> D. Nicholas, D. Clark, *Evidence of user behaviour: deep log analysis*, w: *User studies for digital library development*, London 2012, s. 85–94.